

Xiążę Stanisławczyk śnił, że jest Królem Polskim. Stąpał w karminowym, obszytym gronostajami pudermantlu, w modrym kaftanie z guzami i w amarantowych culottes! Na głowie dźwigał dwustronny cadenette posypyany pudrem-cukrem, a na nim koronę Królestwa. Jakoś mu się to wszystko trzymało łba. Po obu stronach pałacowej amfilady biło czołem w posadzkę pstrokate ziemiaństwo z całego powiatu i, dyabli wiedzą, dlaczego, Murzyn z kółkiem w nosie wielgim jak faska, który małpę na postronku szturcha.

– Czemu ty ją tak szturchasz? – pyta zaciekawiony Stanisławczyk, dostojny Król Polski, i widzi, że ta małpa na postronku to Niemczyk pokurczony, a w kosmatej ręce ściska jakieś pismo z pieczętkami. Wie Stanisławczyk we śnie, że to pismo na jego zgubę jest szykowane! Zaczął więc we śnie przebierać nogami, machać rękami, żeby jak najszybciej uciec, żeby się schować przed zgubą, przed śmiercią i na strych uciekł. Po drodze zgubił koronę i jak doleciał na strych, to ujrzał siebie bez tej korony, bez cukrowanej fryzury. Zobaczył, że ma na głowie swoje własne włosy, i że te włosy płoną!

Xiążę czym prędzej wydostał się z odmětów, wyskoczył jak korek na spokojną powierzchnię dnia. Obudził się z wytrzeszczonymi oczami. Urodziło go łono strasznej nocy, na świat go wydało.

– Sen mara, Bóg wiara! – wyszeptał spocony jak szczur. – Jakże to ja mogłem Królem Polskim zostać? Czemu mi się ciągle śni, że ja Królem Polskim mam zostać?

Dotknął głowy, pomacał czy jakie guzy albo rogi mu nie wyrosły, przesunął palcami po nocnej koszuli. Porwał z toaletki lustro i zajrzał w nie. Na xięcia spojrziała wygnieciona twarz z nastroszonym wąsikiem, okolona zrudziałymi bokobrodami, ptasia w wyrazie ciemnych, wylupiastych oczu, teraz przestraszonych i szalonych, w kształcie garbatego nosa i wypukłych, czerwonych warg. Podotykał tego wszystkiego, ponaciskał i do przekonania doszedł, że to on sam jest w lustrze.

– Jaki to ze mnie Król Polski? – powtórzył. – I co mi się to tak ciągle śni? Jeśli wróżba pomyślna, niech się spełni, a jeśli tylko sen, niech się prześni i więcej nie męczy.

Zniechęcony odłożył lusterko. Zapatrzył się w udrapowane okno sypialni. Słońce po drugiej stronie rozświetlało łagodnie burą, spłowiałą, miejscami przetartą tkaninę.

– To już lepiej jakim senatorem zostać. Albo wojewodą – mruknął. – Mniejszy zaszczyt, ale cię za wariata nie wezmą.

Wstał. Jeszcze raz przejrzał się w lusterku.

– Hm! – mruknął po raz drugi. – Ale król, to król! – Podeszedł do okna i pociągnął za koniec urwanego sznurka rozsuwając kotary.

Jak okiem sięgnąć rozciągały się zielone łąki porośnięte tu i ówdzie kępami leszczyny i pojedynczymi drzewami. Jak zielona woda kołysały się zielone łany

zbóż. Daleko im jeszcze do zżęcia. W gorącym powietrzu wisały dzwoniące skowronki, w krzakach kwitnącego bzu pod oknami dworu trzepotały wróble. Wysokie topole na miedzach jak strażnice pilnowały dziedziny Stanisławczyka.

Włazł na postument i wychylił się za okno. Potracił kawałek wyszczerbionego tynku płosząc ptaki w krzakach. Odezwała się kukułka mieszkająca w kącie sypialni w nakrapianym żelaznym pniaku. Policzył xiążę godziny. Zepsuta była bo szesnaście razy zakukała, zakrzypiała sprężyna i schowała się kukułka zadowolona, że nakukała.

– Włoska robota – odezwał się xiążę z przekąsem. – Kto to widział tyle razy kukać? Złodzieje!

Przytknął do oka lunetę. Daleko, za ścianą topól rozciągała się dziedzina Sztorcha, który swoim dzieciom uczonego sprowadził, żeby ich nauczał o botanice i gwiazdach. Blżej na swojej kopie siana xiążę wypatrzył jastrzębia suszącego skrzydła z nocnej rosy.

Ruszył xiążę językiem w dziurze po zębie, który mu wyleciał, kiedy wczoraj gryźł kurzy gnatek. Jak to trzeba uważać?! Jastrząb machnął skrzydłami i odleciał. Na ściętą łąkę wjeżdżali chłopkowie na wozie, uzbrojeni w widły i grabie. Baby zakasały spódnice. Złych miał xiążę chłopków, nieposłusznych i leniwych. Złych chłopków karał surowo. Odłożył xiążę lunetę i odszedł od okna. Parę chwil ciekawie oglądał przez lupę ząb leżący na stole. Ząb był szary, z brązowymi i zielonymi kropkami, a nawet czerwona jakaś na nim była.

Sługa jakaś zapukała do drzwi.

– Co tam?

– A Żyd z miasta, Jaśnie Panie!

– Każ czekać!

Stanisławczyk narzucił turecki szlafrok, przejrzał się w stojącym lustrze. Przybrał surową pozę.

– Wejść!

W drzwiach pokazał się niski, gruby Żyd w binoklach.

– Xiążę, że prosił? – zagadnął i ukłonił się.

Stanisławczyk pokazał palcem na stół.

– Popatrz no, Grajcewer.

Żyd zbliżył się do stołu i pochylił za palcem xięcia.

– Ząb? – zapytał niepewnie, bo tysiąc innych rzeczy walało się na stole.

– Mój ząb.

– Cudny ząb! Aj! – Żyd plasnął w małe, pulchne jak pączki, dłonie. – Ząb mądrości. Rzadki ząb! Okaz ekstraordynarny!

– Chcę go oprawić. Na pamiątkę smutnej młodości. Co radzisz Grajcewer? Myślałem o agrafie jakiej, co? Na plastron? Albo szpila?

– Szlachetny wybór!

– Ładnie mi będzie, co? – Stanisławczyk obrócił się do lustra, przyłożył ząb do koszuli. Grajcewer podbiegł na krótkich nogach, stanął za xięciem.

– Rzymski wybór! – krzyknął. Xiążę zawinał ząb w chustkę, podał Grajcewerowi. Sam odszedł pod okno, przytknął lunetę do oka.

– No to zrób. Szpilka, co? – uśmiechnął się chytrze.

– Agrafka, że wspomniał Jaśnie Xiążę.

– Łajdak z ciebie, Grajcewer. Szpilka taniej wyjdzie.

– Agrafka senatorska, Jaśnie Xiążę.

– Ale szpilka tańsza! – wrzasnął xiążę.

– Rzymska...

– Tańsza! Gadaj mi zaraz! – krzyczał xiążę cisnąc boleśnie lunetę do oka, bo chłopkowie rozbiegli się po łące. To parobki gonia dziewczuchy. Nie za pracą oni biegają.

– Tańsza, Jaśnie Xiążę – Żyd zrobił zbolałą minę.

– Oszwabiłeś mnie ostatnim razem na tym guzie turkusowym, co to miał być z królewskiego skarbcza! – Stanisławczyk zwrócił wściekłą twarz na Żyda.

– Był, Jaśnie Xiążę! – Grajcewer przyłożył dłoń do piersi. – Przez Dawłowiczów po Urszuli Sieńczyckiej!

– Złodziej od złodzieja! Łajdaku! Każę cię z miasta przepędzić! Taki on królewski, jak ty uczciwy! Z torbami chcesz mnie puścić! Krew wyssać! Agrafkę chcesz zrobić! – wyłupiaste oczy przewiercały Grajcewera, jakby się chciały dokopać do jego najgłębiej ukrytych, podłych zamiarów.

– Krzywdzi mnie Xiążę – poskarżył się Żyd sucho.

– A bo was można skrzywdzić! Choćby nie wiedzieć co, zawsze wyjdziecie na swoje! Dom wam spalić, dobytek wyrzucić i to popioły na złoto zamienicie! Szpilkę mi zrobisz i wyliczysz się co do grama jednego! A zegar! Coś ty mi za zegar sprzedał?! Włoska robota! Ileś to się nachwalił, nałgał, a zegar źle chodzi! Szesnaście razy kukułka nakukała! Słyszane to rzeczy?!

Spojrzał Grajcewer zmieszany na zegar imitujący pień. – Zabiorę do naprawy. Łajdak Włoch.

– Ty sam łajdak. A teraz popatrz tu! – xiążę postukał w leżącą na stole książkę. – Tu masz obrazek, jak ma szpilka wyglądać. Weź szkło. Masz szkło? Idź i spraw się, bo cię przepędzę. Tak. – Stanisławczyk westchnął. – Przyniosłeś co ładnego? – zapytał zerkając na zniszczony sak przy drzwiach.

– Ośmielam się zaprezentować! – Grajcewer podbiegł do saka, wydobyl z niego płaskie safianowe pudło. Otworzył i podsunął Stanisławczykowi.

– Co to?

– Łańcuch Zygmunta Augusta.

– A czemu on nie cały? – rozczarowany xiążę wziął go w ręce. – Kawalek tylko. Zapinki nie ma.

– Taki się został z dziejowej burzy – wyjaśnił Grajcewer i przetarł chustką spotniałe binokle.

– A skąd pewność, że to Jagiellonów?

– Weź Wasza Wielmożność szkło i popatrz na medal. Stoi tam: Sigismundus Augustus Rex Poloniae.

Xiążę z lupą i łańcuchem odszedł pod okno. Oglądał i zastanawiał się. Coś mamrotał pod nosem.

– Skąd go masz?

– Przyniósł mi Żyd.

– A skąd on go wziął?

Grajcewer uniósł brwi. Pokiwał głową ni tak, ni siak: – Po co pytać?

– Złodzieje. Nic, tylko złodzieje – mruknął xiążę. Obracał łańcuch na wszystkie strony.

– A te kamienie jakie?

– Rubiny i opale. Piękne, czyste. Rzadkie kamienie.

– Nie wiem, nie wiem. Niecały ten łańcuch. Jak go złożyć? Aby nie pisać o nim gdzie w urzędowych dziennikach żeście go ukradli?

– Ani słowa! Wdowa znalazła w sapecie nieboszczyka męża!

Grajcewer złapał się za usta. Za dużo powiedział, już teraz xiążę nie popuści.

– Wy i wdowy nie uszanujecie. Ani nieboszczyka. Co za sapet?

– Miał tajną szufladkę.

– Nic więcej nie było?

– Nic. Pluskwy tylko.

– Było, nie było. Kto was tam wie? A bo to sprawdzę? To ile chcesz?

– Wdowa znalazła. Nowomodna wdowa.

– Wdowa ścierwo. Po co by chowała majątek? Zamęczyła męża.

– Zamęczyła – zgodził się Grajcewer. – Subtelnością swoją zamęczyła. Mąż takiej damy szybko się na tamten świat przenosi z powodu ogólnego wykształcenia żony.

Zamyślił się xiążę na ten temat, bo i on miał nowomodną żonę. Westchnął. Mądry człowiek, Grajcewer.

– To ile chcesz, Grajcewer?

– Sześćdziesiąt rubli?

– Nie dam! – wrzasnął Stanisławczyk i cofnął się o krok.

Grajcewer rozłożył krótkie ręce.

– Wola Jego Wielmożności, ile da.

– Już ty byś mnie w samych gaciach! Dam trzydzieści albo przegnam precz z miasta! Ciebie i synów twoich, i córki twoje...!

Żyd pokiwał głową. Uniósł ręce i oczy ku powale.

– Zgoda! Zgoda! Jeden Bóg widzi krzywdę Żyda. Każe Xiążę dorobić resztę łańcucha?

– Dorób. Zapłacę, jak będziesz gotowy ze wszystkim. Zegar zabierz. Jakże nie dorobić? Trzeba dorobić.

Grajcewer skłonił się i wyszedł zabierając ząb, łańcuch i zegar.

– Złodziej – mruknął Stanisławczyk. – Szubrawiec.

Powrócił do oglądania chłopków ładujących kopy siana na wozy. Za dużo tam było pustego śmiechu. Za to dziewczęcych ud błyskających spod podkasanych spódnic w sam raz było. Stanisławczyk poczuł głód. Zbliżył się do lustra i długo przeglądał w matowej, popękanej tafli, sinej jak lód na wodzie. Otworzył usta, przechylił głowę i oglądał miejsce po ułamanym zębie. Z kieszeni szlafroka wyłuskał zgryzioną wykałaczkę i wetknął w dziurę. Zabolało.

– Złodzieje. Żadnej litości.

Wyszczrzył się do lustra. Liczył, ile mu jeszcze zostało.

– Dużo zostało – mruknął.

Rozległo się ciche pukanie. Stanisławczyk nie od razu odpowiedział.

Przeszedł się wolno pod okno, trącił palcem lunetę, spod okna wrócił do stołu. Zamyślił się. Złą miał służbę, brudną i leniwą. Też złodzieje. Szczwana wdowa znalazła tajną szufladkę w sapecie. Xięciu zrobiło się nieprzyjemnie na myśl, że po jego śmierci żona znajdzie tajną szufladkę w jego sekretarzu. Czyby nie wyborować dziury w nodze stołu? Ale znowu noga za mała! Własne dzieci nie uszanują, znajdą i przepiją, przegrają, przehulają! Koło wdowy zakreśli się jeden z drugim, na wydaniu, też wdowiec i połączą się na grobie nieboszczyka! Ale to nawet i wdowiec nie musi być! Może być kawaler! Kawaler najgorszy! Temu to już nigdy pieniędzy za dużo! A jak jeszcze umie fikać w tańcu albo grać na gitarze, to już żadna wdowa mu się nie oprze! A niechże on jeszcze francuskie słówko wtrąci! Niechże powie, że w Paryżu siedział, sukinsyn, w kabaretach!

Zapukała służka po raz drugi.

– Wchodź!

Ma xiążę takie służki, że pomagają męża oszukiwać.

Do pokoju weszła wysoka, bosonoga dziewczyna. Miała jasne włosy, wydatne wargi i głębokie, wesole oczy. Xięcia wychowanica. Ta jedna nie oszukiwała. Przychodziła, kiedy chciała i kiedy chciała odchodziła. Co to za stwór był, tego xiążę nie wiedział. Niosła na pogiętej tacy list jakiś. Rzuciła tacę na stół. Zrobiła ruch, jakby chciała odejść, ale nie odchodziła. Czarodziejka jakaś.

– Czekaj! Co tam we wsi, co? – bąknął xiążę. Wciągnął w nos zapach kobiecego potu, ługu i drzewnego dymu. A przez okno wpadała woń siana. Biegał xiążę wzrokiem po piersiach, biodrach, i nagich ramionach dziewczyny. Zatrzymał się na brudnych stopach z połamanymi paznokciami.

– Czemu ty siana nie zwozisz, co? – podszedł do stwory, położył dłoń na piersi i ścisnął. Musnął palcami twardniejący sutek.

– W kuchni jestem – oparła się biodrem o stół i wygięła do przodu.

– A co tam w kuchni? Co na obiad? – przesunął dłoń po jej brzuchu i szybko wpakował między nogi. Dziewczyna jakby na to czekała. Zachichotała. Ścisnęła uda wiążąc dłoń xięcia. Już on nie mógł się wyrwać z tej pułapki! Już przepadł!

– Kapłon i kluski – zamruczała.

– A zupa?

Kiwnęła głową.

– A sos złoty?

– Złoty – odparła i patrzyła na xięcia złotymi oczami. A xiążę rękę wyciągał i wyciągnąć nie mógł! Aż wreszcie zlitowała się, rozchyliła nogi i mógł wyjąć rękę. Okrągłe jak piłki oczy xięcia spoglądały nieprzytomnie.

– Ja w niewoli twojej jestem – poskarżył się.

– Ty we własnej jesteś niewoli.

Xiążę pochylił głowę, bo i on był sługą pokornym miłości.

Wyszła dziewczyna uśmiechając się tak jakoś, że niech to dyabli! Boginka tylko tak się śmieje.

– Przyjdź – poruszyła wargami. Stanisławczyk niemo poruszył swoimi. Na całe szczęście gzymsu kawałek urwał się i spadł na parapet, i w ten sposób xiążę do rozumu powrócił.

Zasiadł xiążę do czytania listu. Slupcyn zapraszał na karty do miasta. A o czymże mógł pisać Slupcyn jak nie o kartach? O winie i o kobietach jeszcze. Arcyłajdak, dziwkarz, sukinsyn! Ten by siekierą rozbił sekretarz, żeby znaleźć tajną szufladę! Ale Stanisławczyka śmieszył, bo wargi miał takie, że je wpuszczał do szklanki z winem i pił jak świnia ryjem, uszami ruszał. Był duży, tłustawy i kosmaty. A kiedy się schleje, to smutny jest i płacze. A Stanisławczyk płacze razem z nim. Całują się w usta i płaczą. Slupcyn to figura, dużo może. Donosi w liście, że puści z torbami starego Wypczę za polityczne sprawki syna i pyta, czyby xiążę nie chciał czego tanio kupić przed licytacją, to Slupcyn sfalszuje dokumenty i postraszy pociotów Wypczy. Dureń! Jak można o czymś takim pisać w liście?! Jeszcze kto otworzy! Ziemiaństwo okoliczne się dowie! Żadnego wychowania i bojaźni bożej! Chciałby, łajdak, zarobić na ludzkim nieszczęściu! Traćcał cię pies, Piotr Pietrowicz!

Xiążę był zły. Spalił list w piecu. Palił wszystkie listy od Slupcyna i na żaden nie odpowiadał, a wszystkie podarki od niego odsyłał. Slupcyn śmiał się:

– Ty, Stanisław, wesz jesteś. Choć cię nie widać, to trzymasz się mojego kołnierza i wyrzucić się nie dasz.

– Idi ty w rzopu! – mruknął xiążę patrząc na popiół. Splunął. Odegnął niemiłe myśli. A co mu ten Slupcyn za podarki przysyłał? Guziki jakieś bez dziurek i portret kobiety z wąsami. To znowu suchą łapę zająca, okręt w butelce, nieobyczajne rysunki i poematy. Rysunki obejrzał, poematy przeczytał i odesłał. Tydzień dumał, jakże to można wepchnąć okręt do butelki. Korek wyjął, palec wtykał, dmuchał. Myślał, że może wrzuci się jakie ziarno okrętu i podlewa, a okręt rośnie jak dynia, więc nalał wody do flaszki i czekał, aż okręt rozsadzi szkło, ale wszystko tylko namokło, rozkleiło się, rozpadło. No to rozgniewany zakorkował flaszkę i odesłał Slupcynowi bez słowa. Aż tu widzi pewnego dnia, że syn jego, Hieronim, taki sam okręt w butelce zrobił! Niemiłe to było zdarzenie.

Zszedł xiążę na śniadanie. W salonie przy stole siedziała rodzina Stanisławczyka: jego żona Aniela, z domu Bukowicka, czternastoletni syn

Hieronim, całkiem mała córka – Zosia, sięgająca brodą stołu, ojciec żony, stary, siwowłosy cymbał Józef Bukowicki, któremu lues wyżarł pół mózgu. Dyabli wiedzą, jak będzie z dziećmi xięcia, czy czego nie odziedziczą po matce i dziadku. Obok dzieci siedział chudy Francuz, Polignac, guwerner-nauczyciel języka i dobrych manier. Xiążę nim pogardzał, ale Aniela chciała, żeby w Stanisławówce było jak na dworze cesarskim, dał więc spokój. Ile taki zeżre i wypije? Przez tydzień nie zje tego, co stary Bukowicki przez dzień! Ale słaba to pociecha.

Polignac i Aniela coś tam po kątach szwargotali po francusku ściskając sobie palce i machając chusteczkami. Z początku dobrze było trzymać we dworze Francuza dla splendoru większego.

– Bon jour, mon amie – przywitała męża Aniela. Xiążę siadł u szczytu stołu. Z chłodnym żalem spoglądał na Hieronima, swoją małą, lękliwą, niezdrową kopię. Nieodmiennie też oznajmiał synalowi:

– W ziemstwie będziesz. Do godności dojdiesz.

– Oui, mon pere – odparło dziecko bawiąc się kulką z chleba, bo zawsze musiało znaleźć jakieś zajęcia dla swoich pajęczych palców.

I na co idą jego pieniądze? Taki sam bęcwał jak matka i Bukowicki. Obrzucił starego niechętnym spojrzeniem. Nie lubili się oni.

– Od godziny siedzim, w brzuchy burczy! – poskarżył się siwowłosy starzec. – Kierdos! – dodał, dźgając powietrze brudnym paluchem.

„Kiedy zdechniesz, co? Pora już.” pomyślał xiążę. „Przywiązać ci, dziadu, kowadło do szyi i w wodę.”

– Podawaj! – rzucił xiążę w bok.

Kiedy jedli, przyglądał się znad talerza biesiadnikom.

„Jaki z was pożytek?” – myślał. – „nic nie robicie, darmo żrecie, jeszcze wam płacić, na dożywociu trzymać.”

Na syna spoglądał z mieszaniną pogardy i litości. Usiłował nauczyć go konnej jazdy, strzelania, podchodzenia zwierzyny, ale ten się bał. Książki czytał, gadał o jakichś takich rzeczach, które „procesy” nazywał. Co za procesy?

– Odbywają się burżuazyjne procesy – mówił synal.

– Wyjdą ci bokiem te procesy.

– Nażarłeś się? – posłał xiążę starcowi pochmurne spojrzenie.

– Widziałem Żyda, mopanku – rzekł starzec do siebie gniotąc chleb bezzębnymi dziąsłami. Z wąsów kapą mu mleko. Ten to zeżre za stu! Obok talerza leżała zszargana, poplamiona broszura „Seym piekielny straszliwy i examen księcia piekielnego”. Taką sobie pokutę starzec nałożył, że z dyabłami dysputy prowadził, a ze swoim zięciem koty darł.

– Kierdos przyleciał – wymamrotał w rękaw. Zerkał na boki w obawie, że mu zięć jedzenie zabierze. Czasem mu zabierał. Drutowaną szczęką wymawiał jakieś słowa, których xiążę nie rozumiał. Starzec włókł z sobą ożóg. Chodził po okolicznych lasach i wioskach, czytał chłopkom broszurę, ręce podnosił

wzywając Boga, śliną parskął, wykrzywił się. Kaplic parę ufundował przy drogach. Bali się go chłopkowie, ale i czcili, jak jakiego świętego pielgrzyma. Xiążę zarznąłby starego już dawno, ale jakoś sposobności nie było.

– Mon cher, czegoż chciał Grajcewer? – zapytała Aniela.

– Interesy – odparł xiążę. – Ząb kazałem oprawić.

– Jaki ząb?

– Mój.

– Jakże to? – xieżna potrząsnęła głową tonącą w kaskadzie wstążek, loków i ósemek. Miała nieprzyjemnie płaską twarz. Nadzwyczaj płaską twarz! Tkwiły w niej dwie dziurki oczu i sterczał nos, a w jego cieniu wiły się cienkie, nerwowe wargi bez koloru, które zdarzyło się xięciu niegdyś pocałować.

– Ząb! – powtórzył butnie, zadowolony, że takie zrobił wrażenie.

– No ząb! Ale jakże to? Po co oprawiać?

– Ku ozdobie. A po co się oprawia?

– No, ale jakże to?! Słyszał kto, żeby zęby oprawiać? To szaleństwo jakies!

Wstyd!

– Kierdos przyleciał – wymamrotał starzec po raz wtóry. O! Umiał on mamrotać! Czego on tam nie wymamrotał na swego zięcia! Jakich przekleństw! I zakleć!

– Pamiątka zostanie dla potomności. Mam łańcuch Sigismundusa Augusta, to i agrafę Stanislavusa Stanisławczyka chcę mieć.

Jęknęła xieżna tylko, a ze wstydu cała się czerwona zrobiła, bo Francuz słuchał i chustką koło nosa sobie machał, że niby gównno go to obchodzi. A chustkę nosił przewleczoną przez pierścień na palcu.

– Mam uważanie na wszystko – xiążę na to.

– Quel horreur! Quel horreur! – wyszeptała skłoniwszy głowę w stronę Polignaca. Hieronim parsknął śmiechem. Sięgnęła przez stół i zdzieliła chłopca w ciemną chińskim wachlarzem. Córka Zosia, blada, wąż kopia matki, cała we wstążkach, lokach i ósemkach wybuchnęła płaczem.

– Na wszystko mam uważanie – powtórzył xiążę i na Francuza patrzył jak żmija na mysz. A ten sobie nic z tego nie robił, udawał, że xięcia nie widzi i widelcem machał i w chusteczkę parskął, że niby dobrze mu i wesoło się żyje we dworze. Ale uszami strzygł, jak cap, który zwietrzył kozę.

Po śniadaniu siedział xiążę z lunetą w swoim pokoju i oglądał bezkresne pola i łąki, rozświetlony słońcem złoto-zielony ogród. Eden. Szczere wzruszenie chwyciło go za gardło i serce, napełniało oczy łzami. Spojrzenia wypukłych, brzydkich oczu lecące swobodnie jak ptaki docierały do linii horyzontu, nawracały, kołowały, zawisały w powietrzu, opadały gwałtownie i znów odlatywały w bok, ku dąbrowie. W ciężkim, oleistym powietrzu południa leniwie brzęczały tłuste muchy, w martwych, zdawałoby się, krzewach cienko bzyczały pszczoły i osy, grały grubo bąki i trzmiele, w trawach skrzypiały bezustannie polne koniki. Wysokie drzewa drgały otulone zielonym płomieniem.



Stanisławczyk nasłuchiwał. W miążkim piasku, w cieniu bzów spały kury, to tu, to tam, w pokrzywach gulgotały indory, znad sadzawki dobiegło pojedyncze kwaknięcie przebudzonej kaczki. Wiele godzin dnia, wiele dni miesiąca, wiele lat spędzał przy swoim oknie obserwując świat przez lunetę. Czuł się strażnikiem niezmienności, pilnował pór dnia i pór roku, obrotów słońca i kwadr księżyca, nadawał czasowi właściwy kształt, charakter i kierunek wijącej się spirali, która niesie xięcia i jego dwór pod obłoki. Pewnie cieszyłby się xiążę spokojem dni, gdyby nie nawiedzające go sny o tym, że Królem Polskim zostanie. Któregoś razu ujrzał maszynę jadącą po polu Sztorcha. Ujrzał jego samego we wspaniałym powozie, chmarę ludzi i tę maszynę ciągniętą przez poszóstny zaprzęg. O! Podskoczył wtedy xiążę pod sam sufit ze zgrozy i oburzenia, i zawył. Przez następny tydzień pił likiery.

cdn!